Rok III. Warszawa-Kraków, dnia 21. marca 1911. № 40.

PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi 2 razy na miesiąc w odstępach czasu 15-dniowych pod kierownictwem **Józefa Rozprzy-Krobickiego.**

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedyńczego numeru: 20 kop.

OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogloszeniowych i agentów.

Treść numeru:

Fabryczny Magazyn Wyrobów Srebrnych **Br. HEMPEL** Gmach Teatrów (pod filarami).

najlepszy KEFIR REKIERTA butelka 8 k. Koszykowa 25 telefon 15-31.

„UNDERWOOD“
Najlepsza Amerykańska maszyna do pisania
G. GERLACH
Warszawa, Czysta № 4.

Kompanja Elektryczności m. Warszawy
Berga № 6. ODDZIAŁ INSTALACJI. **Tel. 86-30.**
Wykonywa: instalacje oświetlenia i siły elektrycznej z przyłączeniem do sieci miejskiej, po cenach niskich.



IDALIA BADOWSKA.

POETA.

(Ks. Antoni Szandlerowski).

Znowu bezwzględna „Smutna Pani“, z niedbałym pośpiechem przecina misterną tkankę życia... życia, które się niewypowiedziało jeszcze, które się wzbiło wysoko, podniebnie i właśnie dopiero zaczęło nucić swój twórczy hymn, życia, co chciało własną dłonią nieśmiertelność zetrzeć w pył promienny, w lśniące tchnienie.

Antoni Szandlerowski odchodzi od nas w chwili gdy właśnie zaczął był ogniste runy pisać w duszach naszych swą płomienną władną ręką.

Odchodzi, a pioruny jeszcze się dymią w jego zastygłej dłoni, a błyskawice nieci jeszcze zgasły na wieki wzrok.

„Jak powietrze, jak promienie
W serce się przekradam -- wdzieram!
Sam jak ziarno gorczyczne w ziemi zwolna zamrę...
A gdy przegryzę śmierci stalną klamrę,
W każdym sercu pyły lśniące
W słońca się zapalą nowe,
I każde serce będzie jako słońce!
A każda pierś — jak tarcza kryształowa“.

Nie roztrwonił skarbów swoich, które miały stać ludzkości za korabie w czasie bezdroży. Nie zbył ani na chwilę przepięknej, tęczowej obroży, którą był włożył na siebie, by służyć wiernie sprawie Miłości—tej największej Prawdzie, której się Niebo miało nauczyć od Ziemi, by mogło z nią razem potem pić z jednego kielicha i nigdy jej się nie zaprzeć.

A więc choć odszedł zbyt prędko, choć nie dokończył myśli swojej, choć może nawet nie wypowiedział najważniejszego swego słowa, pokazał jednak promienną ścieżę, którą kroczył jasny duch jego do tronu Pana, Boga. To szukanie Boga jest zasadniczą cechą twórczości Szandlerowskiego.

Męski, jędrny, a zarazem mimozowo wrażliwy duch jego, entuzjastycznie hojny i rozrzutny szuka ciągle jakiegoś ołtarza, na którym mógłby spalić swe wielkie, miłości pełne serce. Szuka ciągle prawdy, boga, którego mógłby sławić swą seraficzną pieśnią, stojąc u jego najświętszych przynoży, niby kolumna w ranny świt wschłuchana.

A Boga swego szuka nie w tych powierzchownych, gotowych warstwach ducha, dostępnych i istniejących, czystych w swej prostocie i nieskomplikowaniu — ale sięga najwyżej, tam gdzie już oddech się łamie na granicy rzeczywistości i doskonałej wyżyny, tam, gdzie się już nie przemawia słowem prawie, jeno gromem i błyskawicą, pozłotą jutrzenki, tęczą i piorunem. A w języku ludzkim na określenie tego zjawiska odnajduje się zaraz łatwy wyraz — mistycyzm. Co prawie ma oznaczać jakąś mglistą, nikomu niepotrzebną i co najważniejsza niezrozumiałą fantazmagoryę myślową.

Czyżby to znaczyło, że największe, najdoskonalsze napięcie ducha ludzkiego jest dla nas też tylko do pewnej miary zrozumiałem lub pożądanem? A to zno-

wuż czy nie świadczy o naszej gnuśności, niecierpiącej żadnych rzeczy zamącających jej spokój, jej wygodną, praktyczną egzystencyę?

Szandlerowski buntuje się właśnie przeciw tej określoności życia. Duch jego odpręża się i szamoce, ani na chwilę nie chcąc przyznać nad sobą władzy rzeczywistości, co jak podrzędna gospoda przyjmuje w swoje progi wszystkich, aż do najnędzniejszych żebraków, by potem obojętnie zatrzasnąć drzwi za nimi, gdy odejdą.

Buntuje się przeciw rzeczywistości, czarne swe fale zmykającej nad jego gorącą, promienną głową i, jak Nezus ognistą koszulą związany, nie czuje prawie, że szarpiąc na sobie swą kapłańską sukienkę, zdarłby ją był wraz z kawałami żywego ciała... Och, bo przyrosła do niego, do jego pogańskiej duszy ta katolicka szata i wniosła dziwne rozdwojenie, stworzyła dwóch bogów — jednego przez duże „B“ drugiego przez małe.

„A ja prosić będę ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby mieszkał z wami na wieki“—takie słowa (ze św. Jana) kładzie Szandlerowski na czele dramatu swego „Paraklet“... Innego pocieszyciela.. Alium paraclitum.

W rzeczy tej porusza on zasadnicze zagadnienie stosunku Boga, Szatana i Człowieka—zagadnienie od księgi Hioba po przez Manfreda, aż do ostatniej chwili zawsze najwięcej bliskie i najwięcej otchłanne

W dolinie pod dębem odwiecznym palą się świątynne znicze. Ciżba ludzi stoi koło ołtarzy i bije pokłony—jedni sławiąc Pana za sytość swoją, inni załamując się w swej nędzy i cierpieniu.

A potem nadciąga ból, i krew, i łzy i tworzą tępy, głuchy chór, do którego akompaniamentem są bezwzględne, beznadziejne słowa Lucyfera. I rozbłysną w krwawą, rudą, zbłoconą tęczę nad Ziemicem, tym wiecznym wędrownikiem, i opaszą go w uścisk dławiący.

A Ziemic wlecze się jak cień żałobny, pnie się ku szczytom, wstępuje na wirchy, zbocza... Boga szuka!

„Błądzę... błądzę.. Boga szukam!
Mroczną toń borów wołaniem rozhukam,
Rozedrę nieba nieschwytną zasłonę...
Głodne źrenice wpiorunię, jak ćwieki,
W tego co z sobą wraz i szczęście schował
I nie powrócę już do ziemnych pował,
Aż tajń Mu wydrę z pod zimnej powieki,
Aż w pierś ją wzłocę... aż tajnią zapłonę
Na wieki.“

A Lucyfer na to jak głuche, dalekie echo:

„Jak ja od wieków wołasz Go daremnie i daremnie błagasz o ukazanie ci Miłości—Nie kocha on“.

I kusi szatan człowieka:

„O, gdybym kochał, ja strącony duch,
Stałbyś jak ziemia w pożarne południe
Wzłocony w każdy płomienny mój ruch.
Patrz—Jakóbowe odsłaniam ci studnie
I wszystkie słońca zapalam na dnie.
Bór piastunny do stóp ci się gnie!
Gdybym Cię kochał—oplótłbym cię dreszczem,
Co mię jak piorun spala i spopiela!
O niebo strzaskał miecz mściciela

By stamtąd na nas spadł ognistym deszczem
I wraz zatopił promienistą strugą!
Fala miłości huczałaby — długo!
O, gdybym kochał — rozpiąłbym cię krwawo
Na mojej piersi płomiennej i wrzącej
Ranił bym Cię mych źrenic złotawą,
Strącił usta w głąb nocy płonącej
A modlitwą twojego imienia,
Co się we mnie miłośnie wpierścienia,
Omglił niebo jak srebrną Rusałkę,
W grom rozkołysał święte drżenia
I zbudził Miłość... co błądzi wciąż w śnie,
Kochał byś mnie!

A Ziemic milczy i ducha swego syci tęsknotą za Nim, za Bogiem.

I obok Ziemica powstaje druga postać, Bożenna, gołębica cicha, która pod wpływem miotanych w nią nierozumnych słów tłumu, co jak kamienie ostre ranią jej duszę, wyrasta nieustraszona, królewska, święta i dumna, duchem mówiąca, nie ustanı:

Mam perły, męża mam... i ślubne łoże,
Mam piersi krągłe, śnieżne, wonne;
Mam lica — jak północne zorze,
I biodra mam zatonne...
Ale nie dla mnie ślubne noce
Nie dla mnie kwiaty, mąż i łoże
Zadrżę, zapłonę, zadygocę,
Nie zbłocę duszy mej... nie zbłocę!...

A tam u góry tymczasem na tęczoskrzydłym tronie siedzi On, otoczony Mocami i pokornym śpiewem Serafinów, Cherubinów. Z ziemi jednak dochodzą ciągłe głosy:

„Gdzie miłość twoja -- miłość!
Ta jedna co nie błądzi?“

I przychodzą tam z dołu rycerze skrwawieni, a morze krwi płynące z nich wsiąka, jak kropla dżdżu w potężny tron i on się roztęcza jeszcze barwniej, jeszcze ślepniej. I przybywa Lucyfer, którego miłość dla Pana w zemstę się rozpękła i potoczyła się przed tron, niby łza spiekła, ale i on ustąpić musi.

Pan chce pozostać sam Lecz oto z grobu niby srebrzysty promień powstaje Syn i krwią swą, którą wszystką ziemi oddał, bezłzawiem ócz swych zgasłych, zbielałemi wargi chce przebłagać Ojca za tych tam na dole. Nie zbawił ich, bo w śmierci swej dla siebie tylko wziął wyzwolenie, a oni dalej dźwigają jego krzyż. Ojciec zasuwa się w mgłę promienną i śni swą myśl przedstworzeniową, swój sen zapomniany, co promienieje sam z siebie jasnością, mającą źródło w lęku niebytu.

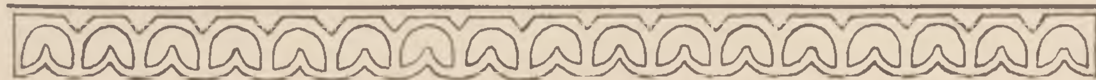
Niepojęta, a tak charakterystyczna w twórczości Szandlerowskiego zmysłowość bije z rozmowy Boga ze swoim snem. Ten sen przeistacza się w kobietę i mówi o swej miłości dla ojca i dla syna, o tej miłości, co idzie z krzyża i z ran, a zwiastuje świętą noc narodzin, o tej miłości, co zwycięża bez boju i bez oręża. Porwany słowami temi syn odchodzi ze snem na ziemię, a przedwieczny Ojciec woła:

„Zdejmę koronę, tron porzucę,
Gdy wrócisz do mnie.. Powróć!“

Sen:

„Wrócę!...“

(D. c. n.).





M. BRONIKOWSKI.

O polepszeniu stanu włościan.

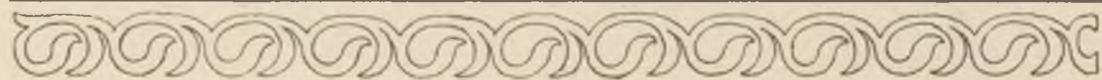
(Dokończenie). („Pamiętnik Warszawski“ z roku 1816-ego).

O wydatkach i podatkach iego nic nie wie dziedzic, te iuż bynaymniey do niego nie należą, bo wieśniak ie sam opatrywać musi. Takowa odmiana wieleż to nam trosków i kosztów umnieyszyć zdoła? w iey obliczu znikną wszelkie zabiegi a nawet i obawa obsadzenia mieysc podług teraźnieyszego stanu rzeczy. Na ten czas klęski woienne tłoczyć będą wprawdzie gospodarza, lecz wyrwać go iuż nie potrafią iego osadzie i zamienić go w prawdziwego tułacza. Miłość własności rozwinie w nim wszystkie przemysłu i dobrey ekonomiki przymioty a te przedstawią mu smutne piiaństwa skutki. To prawda nie potrafi uyść iego przekonania, i wykorzeni w nim wszelkie do tego skłonności, a ieżeli w tey generacyi zupełnie upowszechnioną nie zostanie, to przyszłey będzie ona istotnem znamieniem. W tych przeyściach i zbliżeniu się do cywilizacyi włościanina naszego, i my pewną podać powinniśmy porękę, oczyściwszy wioski nasze z chytrego plemienia żydowskiego, usunąwszy na stronę wszelkie ku pogrążeniu tey klassy ludzi w piiaństwie użyte narzędzia Niech karczmy nasze będą przybytkiem wygód dla gości, ale nie punktem zepsucia chłopa. Ów włościanin wzniósłszy się do stanu własności, a zrzuciwszy z siebie tem samem niewolniczą postać, łatwo się przekona, iż teyże własności dobre urządzenie od rozsądku i znaiomości zależy. Chętnie przystąpi z wspólnikami swemi do założenia elementarnych szkółek, i do tych swe dzieci bez nadwerężenia iednakowoż gospodarskich zatrudnień posyłać będzie. Lecz i tu my panowie radą i uwagami przewodniczyć mu powinniśmy, aby ta prawda prędzey do serca iego przemówić mogła.

Nie uwodząc się iednakowoż co do tego punktu idealnościami, chcąc chłopa naszego oddać wyższym wiadomościom, lub go utworzyć iakowym artystą: nieiakie wyiątki mogą bydź w szczególności użytemi, lecz w ogólności zrodziłyby naysmutnieysze skutki, odrywaiąc rolnictwu potrzebne ręce, na których mu w całkowitości ieszcze zbywa, a co stanowi wielki przedział i różnicę w porównaniu tych płodów i korzyści, które podobny kawał gruntu w obcych kraiach wydać może.

Póydźmy za przykładem Niemiec, gdzie takowe szkółki obeymuią tylko elementarne początki, i są iedynie poświęcone ukształceniu serca i odsłonięciu umysłu z grubey ciemnoty.

Jest u nas wprawdzie wiele folwarków znaczną obszerność posiadaiących gruntu, lecz mało lub nic wcale nie maiących gospodarzy, gdzie wszystko naiemnikiem robić i odbywać potrzeba: a stąd może kto uczyni wniosek niepodobieństwa użycia co do takowych folwarków podanego mego proiektu względem dzierżawy wieczystey; lecz przewiduiący takowe trudności zaprzeczyć nie potrafi, że drugie wsie szlacheckie a osobliwie narodowe wielość gospodarzy pod postacią synów ich lub komorników obeymuią Łagodne i rozsądne kondycye łatwoby ich sprowadzić mogły, i ta trudność samaby przez się upadła. Nie zapomniymy nakoniec, że w ta-



kowych okolicach mnóstwo iest cząstkowey szlachty i mieszczan nie maiących swey własności. Widoki tak korzystne ofiaruiące im pewny byt, nie będą dla nich obcemi.

Oddaymy prawdziwy hołd naszey konstytucyi, iż ta rozciągaiąc równą swoią opiekę ogólnie nad wszystkiemi stanami, a zatem i nad włościanami, zapewniaiąc cudzoziemcom wszystkie dobrodzieystwa, sprowadzi na łono naszey oyczyzny mnóstwo ich, a tem samem i konkurentów do obeymowania naszych gruntów. Ludzie ci nie dla tułactwa lecz dla większey ludności w swych kraiach, nie mogąc tak dogodnie tyle tam uzyskać gruntu co u nas, póydą tam chętnie, gdzie ich przemysł i nadzieie poprowadzić tylko mogą. Nie obawa a bardziey przesąd, iż napływ cudzoziemców odmieniaiąc narodowość iest szkodliwym, upadnie przed głosem rzeczywistości i rozumu. Nie mówię o zdobytych kraiach, gdzie żelazo zwycięzcy pomimo woli ludu, wciela go do obcey ziemi, i narzuca mu nieznany i nienawistny rząd; tamta przymuszona zmiana zatrząść może spokoyność narodu, lecz tam gdzie cudzoziemiec dobrowolnie przybywa, gdzie znayduie dla siebie dobroczynny byt i opiekę prawa, tam on zrzuca z siebie postać cudzoziemca, a zamienia się w cnotliwego mieszkańca swey nowo obraney oyczyzny. Ameryka i Prussy komuż winny wielkość swoię, ieżeli nie światłey ustawie przyymuiącey pod swoią opiekę cudzoziemców? Narody te składaiące się z tylu przychodnich osad, wystawuią liczne hufce, walecznych obrońców; nie widać tam żadney różności interesu i życzeń, bo wszyscy iedno iuż składaią ciało, równem uczuciem, równą gorliwością przeięte.

Rozumowania chcące zbliżać nasze gospodarstwo do stanu sąsiedzkich narodów, w dzisieyszym składzie rzeczy, samym tylko iest zawodem krasomóstwa; pierwey bowiem pomyślić należy o potrzebney ilości rolnika, którey ludnością naszą zastąpić nie możemy. Jeżeli nam pozostaią zapasy zboża do sprzedania, nie iest to bynaymniey skutkiem kwitnącego rolnictwa, lecz oznaką szczupłey liczby konsummentów. Folwarki nasze w porównaniu co do obszerności i dobroci gruntu z folwarkami cudzoziemskiemi, okryłyby nas mnóstwem zysków w części dla nas teraz ukrytych, gdyby tylko miały odpowiadaiącą sobie ludność. Ta to ludność stanowi prawdziwą siłę i bogactwa narodu; ona z ziemi tysiączne wyprowadza płody, wskrzesza industryą, pomnaża rękodzieła. To wszystko com tu dotychczas wspomniał i przytoczył, stanowi sposoby przez które chłopa przywiązać można do rolnictwa, wskazać mu przyiemnieyszy byt i wyrwać go z letargu tey niedołężności, w którym pogrążonym zostaie. Lecz nie dosyć na tem; trzeba uczynić zabiegi iego korzystnieyszemi, trzeba aby taż ziemia czyli rolnictwo wdzięcznością mu się wypłacać umiało. Jeżeli bowiem płody rolnictwa nie będą miały prędkiego i korzystnego odbytu; tem samem wszelka około nich staranność stanie się oboiętnieyszą. Prędki i z pewnym pożytkiem złączony odbyt produktów, polega na kwitnącym stanie miast. One zasilaiąc rolnika gotowizną, wzniecaią industryą i przemysł iego. Dopókąd miasteczka nasze będą wzorem samego nieporządku, niedbalstwa i nieochędostwa, dopókąd nie zamienią się w siedliska manufaktur, rękodzieł i wewnętrznego handlu, dopóty rolnika widoki będą zawsze ścieśnione.

Pomyślny stan miasteczek iest to prawdziwie przedmiot, od którego wieyskie bogactwo, a następnie i całego kraiu zależy; iest on więc godnym uwagi rządu, i nie może uyść szczególnieyszey iego opieki.



GUSTAW OLECHOWSKI.

Niemoc i niewiara.

(Ciąg dalszy). (Z powodu „Oziminy“ Berenta).

Spać Berentowi mie daje (jaka szkoda!) również i Żeromski i Nowaczyński i Katerla. Jakto! Żeromski w „Sułkowskim“ i w „Dumie o Hetmanie“, Nowaczyński we „Fryderyku“, w „Carze Dymitrze“ i w „Smoczem Gnieździe“, Katerla w „Róży“ — tyle prawd gorzkich społeczeństwu swemu wypowiadają, a ono je przyjmuje i jeszcze wdzięczne jest za to. Tak. Ale nie rozumie p. Berent, że prawdę mówić narodowi swemu tylko sercem można, a serce poznaje się z tonu mowy; że gryźć można, ale dla prawdy, nie dla fałszu, że wreszcie artysta winien prawdy swoje w takie usta włożyć, by one nam imponowały, przekonywały nas i wzbudzały w nas zaufanie.

Jakże dalekim jest od tego p. Berent! Całą swą historyozofię włożył w usta „usmiritiela“ i kosmopolitycznej divy operowej!!!! (Czy nie operetkowej?) I jakaż jest ta historyozofia?

Oto wmawia Berent w naród polski, że jest chory na bezwład, smętek wieczny, beznadziejny Dowodzi to analfabetyzmu autora w znajomości polskiego narodu. Osmętnica, tęsknota,—jest zasadniczym motywem duszy rosyjskiej („tkoska“), tak bardzo różniącym ją od duszy polskiej, pełnej lekkości i aryjskiego sangwinizmu, pełnej humoru, pędu, siły żywotnej niesłychanej wprost i w dziejach bezprzykładnej. P. Berentowi pomieszały się pojęcia: żalu i rozpaczy, jaka przebija z dzieł romantyków i poromantyków naszych, z arcydzieł Chopina,—podyktowanych ich czującym duszom przez ówczesną beznadziejność po utracie niepodległości i przez ówczesny mistycyzm, jako chwilowy ratunek ginącej w rozpaczy myśli—a tęsknicy rosyjskiej—wyhodowanej w tym narodzie przez niewolę mongolską kilka wieków trwającą i przez absolutyzm ustroju państwowego.

P. Berent jest poprostu zarażony rosyjską literaturą Gorkija i Andrejewa, i wmawia w nas, że tak wygląda właśnie nasza dusza.

Takie tumanienie ludzi jest wprost potworne, a przytem nie ma żadnego w autorze podkładu uczuciowego, sympatycznego dla nas. Na str. 133-ej wypowiada się autor: „O, jakimże *zadawnionym wstrętem* przejmuje mnie to bagno smutku północne...“

To „bagno smutku północne“—to Warszawa,—to Polska.

Artysta każdy, twórca dąży do wypowiadania siebie w swym dziele. Żaden twórca nie jest zdolny stworzyć nic innego jak tylko to co w nim jest. Twórca jak Stwórca—tworzy wszystko na obraz i podobieństwo swoje—złe i dobre, piękne i plugawe. Jedno gnieździ się w nim jako wartość potencyonalna, drugie jako ideał, trzecie jako świadomość, czwarte jako półświadomość, inne jako instynkt, to znów przeżycie, to myśl wtórna, to przeczucie prorocze, to tradycya, to ruch atawizmu. Dzieło i autor—są nierozdzielni.

Berent chciał dać syntezę kadaweryzmu (?) polskiej współczesności i coś stąd wyprorokować. Zamiar wielki. Wzór gotowy: „Wesele“ — genialna szopka, krzyk bólu.

Jak powiedziałem wyżej, Wyspiańskiemu pomógł wypadek. W życiu realnem, na uczcie weselnej, zeszły się „wszystkie stany“, przy nastroju dziwnym, prawie symbolicznym. Symbolem też jest „Wesele“, dlatego jednak potężnym, że—prawdopodobnym, realnym w całej swej paradoksalności.

W to wszystko, co się dzieje w „Weselu“—wierzyć musimy. W nic co się dzieje w „Oziminie“—wierzyć nie można.

Ani w to, że na balu wielkoświatowym odbywają się posiedzenia w sprawach społecznych; ani że w polskim domu znalazł się prusak z „Berliner Tageblattu“ i pułkownik—„usmiritiel“, szyderca, pełen pogardy dla polskości; ani w to, że nasi działacze odzywają się na posiedzeniach jak bohater z „Bogatego Wujaszka“; ani w to, że wśród rozpraw poważnych w domu prywatnym student jakiś dziecinnie protestuje; ani w to, że przyrodnik polski wyprawę do bieguna przedsiębrać chce po to, by „sztandar duchowy naszej stolicy zatknąć na biegunie kuli ziemskiej“; ani w to, że na wykwintnym balu panie używają wyrazów rynsztokowych i zwrotów, które możliwe są tylko na salach przy ulicy Towarowej, a których ani tu przytoczyć nie mogę, ani p. Berent głośnoby ich przy ludziach wymówić nie mógł pod grozą opuszczenia lokalu; ani w to, że pułkownik rosyjski namawia polaków, by szli z nim na wojnę japońską; ani w to, że w Warszawie odbywały się istinno-rosyjskie manifestacye, rozbijające polskie głowy czapką przykryte, manifestacye, o których Berent z zapałem mówi: „Tak się młode obce życie hardo obwolywało tam“; ani w to, że Nina, na balu, w pokoju sąsiadującym z salonem, oddała się — mimochodem—Zarembie i to pierwszy raz w swem życiu, a potem z dumą opowiadała to innej damie; ani w to, żeby międzynarodowa śplewaczka mówiła kazania filozoficzno-historyozoficzno-socyologiczne; ani w to, że na ulicy Czerniakowskiej — spotkać można tłum sektantów rosyjskich, tłum duchoborów o żółtych brodach, apostolizujących w Polsce; ani w to wszystko co się tam dzieje i mówi.

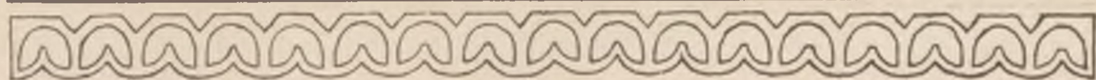
Berent przeciwstawia zgniliznie polskiej—tężyznę rosyjską pułkownika—„usmiritiela“ z 63 roku—który z cynizmem mówi: „gdzie te lasy, gdzie te dwory!“ Najwyższa pochwała w ustach jego brzmi tak, gdy mówi o jednym z polaków: „jakbym go widział z ruskim sztykiem w dłoni na szańcu po suworowsku idącym.“ Benjaminek berentowski—pułkownik nie wiedział nic o polskich bagnetach pod Raszynem i kosach pod Racławicami.

Na balu jest niejaki Komierowski, ex-sybirak, działacz i patryota — zarażony jednak już wpływami obcymi. Pułkownik namawia go, żeby szedł z nim na wojnę, a kończy tak: „Dziadek wasz *zfrancuział* (że w komunie był) — czemuby wam nie zruszczeć!

Namiętnie wymyśla nam pułkownik za naszą omiękłość, za królowanie kobiet. Berent zapomniał, że pułkownik jego należy do narodu, który za epopeę rosyjską uważa „Eugeniusza Onegina“, gdzie kobieta jest samowładcą życia!

Pułkownik uważa polaków za uosobienie fałszu: „A ja nie polak, udawać nie będę“—tak mówi.

Zupełny brak samodzielności w myśleniu autora „Oziminy“ sprawił, że nie ograniczył się na naśladowaniu niezręcznem „Wesela“ w układzie tematu, w kompozycyi, w szopkowym ruchu osób, po dwoje, po dwoje, z pokoju do pokoju, ale przejął on się jeszcze Żeromskim i Nowaczyńskim, którzy lubią przeciwstawiać nam cudzoziemców i przez ich usta wypowiadać nam prawdy gorzkie a słuszne, lub też dawać postaci polskie imponujące, których tragizm wciela błędy narodowe. Historyozofia Żółkiewskiego, Samuela Zborowskiego, Batorego, Sułkowskiego,



Bischofswerdera, Fryderyka Wielkiego znalazły u Berenta swój surogat: filozofię pułkownika.

W salonie bal. Na ulicy istinno-rosyjska manifestacya. Naraz pułkownik woła: wstać! Wszyscy wstają!!!

Ten istinny Benjaminek berentowski jest czasem klasycznie policyjny. Oto przy kolacyi toczy się rozmowa o staruszku-weteranie 31 i 63 roku, który potem był komunardem 71 r. i mieszkał w Paryżu. Teraz oto siedzi siwiutki gołąbek przy stole.

— I jemu wolno było wrócić?—pyta pułkownik.

Ciekawym, który „okołodoczny" inaczejby się odezwał.

Berent się w nim kocha. Na kilkadziesiąt osób balu—pułkownik jedyny wzruszył, zaciekawił i przykuł do siebie Ninę: „budził w niej hardość życia młodego".— Winszuję.

„Świetlana" ta postać snuje się wśród „Polski". Któż ją tworzy?

Naprzód Nieman, baron, gospodarz, działacz. człowiek czynu, optymista. Jest bodaj jedyną zdrową naturą w całym tym sabacie mar. Ma wściekłą pasyę życia i radości. Autor odnosi się do niego z nienawiścią: obdarza go cechą brutalności i bezwzględnego egoizmu, pastwi się, opisując jego brzydotę i urąga temu jego zdrowiu.

Jest dalej jakiś profesor z Krakowa, melancholijnie rozmyślający w bibliotece nad książkami, ich rolą, ich przeszłością Jest młodzik—Zaremba, histeryk, figura mglista, jest cały szereg sylwetek męskich—ukraińskiego nababa, hrabiego, księdza, uczonego, studenta i t d. Wszyscy ci ludzie jednak nie posiadają zgoła żadnych rysów psychologicznych, któreby były motorami ich czynów. Galerya ta przesuwa się martwo, mglisto, nic nie czyni, nic nie czuje, tylko rozprawia stylem napuszonym, przesadnym, jednakowym do maniactwa. Rozumowania tych ludzi są tak ciężkie, logika ich tak obłędna, sfera myślenia tak Nietscheańsko-Tołstojowska, tak czuć ich wszystkich Raskolnikowem Dostojewskiego, że trudno uwierzyć, by to pisał człowiek dojrzały, rozumiejący jako tako rzeczywistość polskich indywidualności i wielobarwność ludzkich dusz. I to ma być synteza Polski współczesnej, tego kraju, gdzie jest zbytek indywidualności, bogactwo oryginałów, gdzie „każdy, sobie pan" i „co głowa—to rozum"!

I tu właśnie granic nie miał mój podziw, gdy czytałem „Oziminę".

Bo Berent należy do tej sekty artystów, do tej kaplicy literackiej, która liczyła w gronie swojem Miriama, Langego, Lemańskiego, Micińskiego, Licińskiego, Przybyszewskiego,—talenty znakomite, które wyeliminowały — w pewnym okresie swej twórczości—wszystko, co nie było czystą sztuką dla sztuki. Był to czas bojowy, a więc à ou trance skrajny. Walczono z płytkością i szablonem, grzebano w najtajniejszych skrytkach duszy, bogacono język nowymi terminami dreszczy i wzruszeń nowych, pogłębiano świadomość artystyczną, szukano nowych form wypowiedzenia, wpadano może nieraz w dziwactwa, ale były one szlachetnymi błędami artystów, szukających swoich cheminées d'évacuation. Budowano sobie ołtarze na górach szklanych, odgradzano się kwarantanną pogardy od tłumu, od narodu nawet i spraw jego, by w samotni dojrzeć. I źrzałość ta przyszła—nie we wszystkich może, nie w nich samych, ale w ich czasie, w tym zagadkowym ruchu, jaki stworzył ich bezruch.

Przyszedł Wyspiański, który sam jeden był rozwiązaniem tego znaku zapytania. Był zaprzeczeniem tego chwilowego nastroju ducha, dążącego do międzynarodowej abstrakcyi, do pauperyzmu. Miriam przestał pisać, Liciński umarł, Le-

mański ciągnie wózek ironii i satyry, Lange wzbogaca nas epopeami sanskrytu, Miciński i Przybyszewski idą naprzód i dalecy są jeszcze od łabędziej pieśni. Przyszło młodsze pokolenie, wzbogacone klejnotami formy i głębi tamtych, ale zeszło z góry szklanej na drogę prozy promienistej, bo zrozumiało:—że Sztuka jest najsilniejszym i najbardziej egotycznym wyrazem indywidualności narodu, że żaden przejaw życia nie jest tak intensywnie wyrzuconym z jądra samego duchowej jaźni narodu jak Sztuka, i że to właśnie wysubtelnienie wrażliwości rasowej jest bogactwem Sztuki.

Więc nie dziwiłem się, że Berent, historycznie należąc do t. zw. modernistów, nie wszedł duchowo do ostatniej fazy rozwoju myśli polskiej, że odszedł od życia, że nie rozumie go dziś, że nie ma kontaktu z żywymi, że nie zdaje sobie sprawy ze zdecydowanych, silnych, ostatnich już może skoków przed finish'em, którym będzie pieśń czynu. Ale dziwiłem się, że ten sam Berent właśnie tak nizko lata jako artysta

(Dok. nast.).



BOLESŁAW LEŚMIAN.

Komizm w utworach Lemańskiego.

(Dokończenie). (Jego „Baśń o Prawdzie").

Gdy zaś zbójcy odjeżdżają, tłocząc się i znikając w przestrzeni, same słowa, jakoby przedrzeźniając nie tak znów poważnych zbójów, zaczynają też się tłoczyć przesadnie i nadmiernie, by tą przesadą i nadmiarem złośliwie zakłopotać naszą wiarę w liczność i w powagę owych zbójów.

Wódz w przedzie, reszta w zdwój,
Ze zbójem jedzie zbój;
Lśni turban przy turbanie,
Jak meczetowe banie.
Chust na łbie zwój, jak sagan,
Łuk, kołczan i jatagan,
Dziryty, piki, spisy,
I piór kity i kirysy.

Trudno nam uwierzyć w turban wielkości meczetowej bani i w chust zwój objętości saganu, a wreszcie w tak katalogowo dokładne uzbrojenie.

Banda zbójów śmieszy nas i zaczynamy podejrzewać, że to jakaś komiczna maskarada, jakaś armia postrachów na ptaki, nie odróżniające prawdy od złudy.

Pomimo tego komizmu, obrazy, w powyższym, jak i w wielu innych utworach zawarte, tają w sobie liryczną śpiewność i urok baśniowych przywidzeń.

Wybucha ten liryzm najwidomiej w kilku sonetach, z których najpiękniejszy przytaczamy tu w całości:

Strącony okwiat grusz na staw nafrunął bielą,
Na skrzek i duży liść okrągły padł grążelom;
Kaczeniec żółty śpi na chabrze wód, i gra mi
Błękitnych szklarek rój—rój skier nad ajerami.

Odbijam senną łódź i płynę ku topielom,
Gdzie w pląsach gony ryb przezroczy nurt popielą,
Gdzie tonie runo chmur i czystość wody plami,
Gdzie szczupak lustro wód przecina pletw ostrzami.
Niekiedy wiosło z dna wywlecze kwiat kaczeńczy,
Niekiedy łodzi burt o suchy trze oczeret --
Siedzibę chmary much. Kapela muszych czered
Dogania senną łódź i długo za mną dźwięczy
Smętnawy, cichy brzęk—jęczenie brzmi komarze:
Oddaję fali ster i wiosło z rąk — i marzę...

W poemacie p. t. „Trójrytm“ jawi się przed naszemi oczyma tryumfująca nad wszelkiemi walkami, zwycięska moc liryczna autora „Bajek“, przybrana w iście królewską szatę głęboko magicznego rytmu i oszałamiająca uwagę każdego artysty nagłością i cudownością słów, lecących na spotkanie snom nieskończonym, snom rozkołysanym w bezmiarach, snom morskim i księżycowym.



PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAN.

BEZ KOMENTARZY.

W lutowym zeszycie warszawskiej „*Chimery*“ z roku 1901-ego p. n.: „*W kwestyi drobnego nieporozumienia*“—pisze **Feliks Jasieński**:

Strona 354.—wiersz 1-y od góry:

„Tutejsza gmina ewangelicko-augsburska poniosła wielką stratę: zmarł Wojciech Gerson, prezes zarządu zboru i kolegium kościelnego. Był to człowiek zacny, dobry i sympatyczny. Przez długi szereg lat opiekował się ochronami, szwalniami, domem starców i kalek, oraz szkołami gminy ewangelicko-augsburskiej. W chwilach wolnych od wyżej wymienionych zajęć zajmował się malarstwem i pisaniem sprawozdań artystycznych.“

Strona 354.—wiersz 13-y od góry:

„dla całego naszego społeczeństwa wyroby rzymskiej filii Fryderyka Pulsa, prowadzonej przez Henryka Pulsa—chciałem rzec: Siemiradzkiego, są dziełami sztuki, a nawet polskiej sztuki.“

Strona 354.—wiersz 20-y od dołu:

„ś. p. Gerson nie był artystą i nie stworzył nigdy dzieła, mającego chociażby dalekie z dziełem sztuki podobieństwo,“

Strona 354.—wiersz 14-y od dołu:

„społeczeństwo nasze nie wiedziało (i nie wie do dziś dnia),“

„czem być powinna krytyka artystyczna“

Strona 355.—wiersz 5-y od dołu:

„każde istotne dzieło sztuki miało w ś. p. Gersonie nieubłaganego wroga.“

W styczniowym zeszycie krakowskiego „*Miesięcznika Literackiego i Artystycznego*“ z roku 1911-ego p. n.: „*Manggha*“, „*Urywek z rękopisu*“ — pisze **Feliks Jasieński**:

Strona 71.—wiersz 10-y od góry:

„Gdyby publiczność była mniej „*szanowną*“, a bardziej przyzwoitą, potrafiłaby zmusić np. naczelnych redaktorów, by nie umieszczali na łamach, prowadzonych przez siebie pism... nieprzyzwoitości, wołających o pomstę do sztuki;“

Strona 71.—wiersz 2-gi od dołu:

„gdy się stanie w Polsce głupstwo, powstaje naturalnym biegiem rzeczy — awantura. Awantura, naturalnie, głupstwa popełnionego nie naprawia, a popełnianiu innych—nie zapobiega.“

Strona 72.—wiersz 4-y od dołu:

„Nic jednak nie upoważnia — najporządniejszych — chociażby — ludzi i majstrów do rozprawiania o rzeczy, o której nie mają najmniejszego pojęcia.“

Strona 73.—wiersz 3-ci od góry:

„Ryby kaloszy nie używają, ale nigdy o nich nie mówią “
„Niewiem, azali są ryby w.. Pełtwi; niektórzy dygnitarze miejscy mogliby od tych taktownych stworzeń nauczyć się bardzo pięknej sztuki... milczenia.“

Strona 74.—wiersz 13-y od dołu:

„ktoś, w Warszawie, ogłosi nagrodę (czytałem o tem przed kilku dniami) za najlepszy obraz, przedstawiający *jeden z licznych epizodów, tak bogatego w tego rodzaju wydarzenia naszego życia kulturalnego.* Naturalnie, ponieważ u nas nie chodzi nigdy o to, j a k, lecz jedynie o to, c o—nagrodę dostanie *najlepszy* epizod, chociażby najpodlej namalowany. Kto wie, czy, choć malarzem nie jestem, nie poszlę na konkurs obrazu, przedstawiającego tłum patryotów, niosących z pod pomnika Mickiewicza na piwo monachijskie — do Hawełki — pana Klofaca, porykując: *Patrz Kościuszko na nas z nieba.* Czyż to nie jest jeden z najbardziej wzruszających epizodów naszego życia kulturalnego?“

Strona 76.—wiersz 3-ci od dołu:

„15-go lipca, 1910-go roku sztuka stała się narzędziem patryotycznej agitacyi.“

Strona 77.—wiersz 4-y od góry:

„Ustawiono na placu Matejki byle co, gdyż chodziło tylko o postawienie tego czegoś na dzień 15 lipca, w celach, ze sztuką nic wspólnego nie mających.“
„A już najsmutniejszem i najśmieszniejszem jest to, że bitwa grunwaldzka n i e o d b y ł a s i ę 15-go lipca.. (obacz w pierwszej lepszej encyklopedyi o kalendarzu).“

Strona 77.—wiersz 11-y od góry:

„O tem, jak gorąco ojczyznę miłujemy, wciąż gardłujemy. Dla większego bezpieczeństwa zafundowaliśmy sobie nawet *Straż*, która ma pilnować, byśmy się zawsze przyzwoicie i patryotycznie zachowywali (ja to nazywam autopoliczkowaniem się)“

Strona 78.—wiersz 18-y od góry:

„W Ameryce roi się od Bolskich, tworzących owo słynne *wojsko* polskie. O co tym Bolskim chodzi? Wyłącznie o posiadanie możliwie wściekłego pióropusza, możliwie wściekłych majtek z możliwie wściekłymi lampasami i o spacerowanie w tem przebraniu w pewnych okolicznościach, w celu wprowadzenia w stan zupełnego zbaranienia Amerykanów wraz z ich dziećmi, żonami, teściowemi, innemi bydlętami domowemi i wszelkim drobiem.“

Strona 78.—wiersz 24-y od dołu:

„Przypuszczam więc, że możnaby podsłuchać taką allokucyą amerykańskiego Wojtka, ułana bez konia, do amerykańskiego Bartka—artylerzysty bez armaty: „Ponieważ lampas na moich na moich majtkach jest dwa razy szerszy od lampasa na twoich—ja kocham Polskę dwa razy więcej, aniżeli ty.“

Strona 78.—wiersz 17-y od dołu:

„Naturalnie, srodze dotknięty *artylerzysta*, nie mogąc strzelić do *ułana* z armaty, bo jej nie posiada; wali go w pysk—po *starokrajsku. Ułan* nie pozostaje dłużny i w taki sposób—*swoisty*—objawia się... solidarność narodowa.

Strona 79.—wiersz 29-y od góry:

„Ludzkość wielbi tylko tych, którzy, przetopiwszy to, co narodowościowe, w tyglu geniuszu indywidualnego, potrafili przemówić mową ogólno-ludzką."

„Moniuszko—to talencik swojski, sława wyłącznie nasza, od rogatki do rogatki, talencik, którego żadna agitacya światu narzucić nie zdoła."

„Autookłamywanie się co do wielkości Moniuszków, Siemiradzkich i tym podobnych jest czemś śmiesznem, a będącem stale na porządku dziennym."

Strona 83.—wiersz 25-y od dołu:

„Żmurko był doszczętnie zmanierowanym talencikiem pornograficznym, zmanierowanym do obrzydliwości i w swych przejawach — obrzydliwym, najobrzydliwszym zaś w *gwieździe betleemskiej*, której przysługuje inny zupełnie tytuł, a mianowicie: la maison Tellier en vacances. Reprezentował w sztuce polskiej coś najobrzydliwszego, jeżeli wogóle do niej należał."

Strona 83.—wiersz 18-y od dołu:

„Świat kulturalny nie wiedział o Żmurce i nie będzie chciał o nim wiedzieć, tak, jak nie wiedział o Siemiradzkim i innych naszych—choć właściwie monachijskich—gwiazdach."

Strona 84.—wiersz 29-y od góry:

„Kultury polskiej w Warszawie nie było i nie ma."

Strona 84.—wiersz 17-y od dołu:

„Kraków—ta czcigodna prowincyonalna matrona, zajęty jest przedewszystkiem charakteryzowaniem się na międzynarodową kokotę i powiększaniem ilości... szynków."

Strona 84.—wiersz 12-y od dołu:

„czytelnicy przekonali się już, że używane przezemnie epitety mają zawsze swe uzasadnienie."

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Stanisław Przybyszewski.—„*Zmierzch*" „Synów ziemi" część trzecia i ostatnia.—Warszawa 1911. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 303.—Cena: 1 rb. 80 kop.

Edward Słoński. — „*Partya*" — Romans rewolucyjny. — Warszawa 1911. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S ka. — Stron 316—Cena: 1 rb. 50 kop.

(Od wydawców naklejono na okładce książki następującą wzmiankę orjentacyjną: „Objawy ruchu rewolucyjnego z ostatnich lat ujął p. Słoński, utalentowany poeta i beletrysta, z innej, aniżeli inni to dotąd czynili, strony, Przedstawił nam, jak haszysz anarchizmu działa odurzająco na dusze młodociane, zniepravіając je i wiodąc na błędne ścieżki przestępstwa i zbrodni. A powieść jego tem jest ciekawsza, nie mówiąc już o wysoce sensacyjnej fabule, że autor psychologię i nastroje rewolucyjne maluje doskonale jak również i tajne sprężyny ujawniającej się w postaci zamachów, manifestacyi, wieców i t. p. konspiracyi. Bohaterem *Partyi* jest młody chłopak, który wprost niemal z ławy szkolnej dostał się do „bojówki", a nie mając dość silnych podstaw moralnych, wobec gwałtów, jakich sam był wykonawcą w imieniu „partyi", przestał odróżniać, co zle, a co dobre, co wolno, a co zakazane, z bojowca stał się zwykłym bandytą, który nawet nie umie należycie użyć krwawo uzyskanych pieniędzy, aż wreszcie pada z rąk swych własnych niegdyś towarzyszy. Oryginalne ujęcie duszy rewolucyi jest zaletą tej powieści, najlepszej z pośród utworów beletrystycznych Słońskiego").

Tadeusz Konczyński.—*„Demostenes“*—Tragedya. — Warszawa-Kraków 1911.— Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. — Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).—Stron 178—Cena: 1 rb.

Marya Szpyrkówna—*„Zwrotki jesienne“*—(Wiersze różne.—Z Tatr.—Z pamiętnika.—Przez szare szkiełko.—Z niewysłanych listów — Przekłady z rosyjskiego — O smutnej królewnie jesienna opowieść.)—Kraków 1911. — Skład główny w księgarniach: Gebethner i Wolff w Warszawie, G. Gebethner i S-ka w Krakowie. — Stron 138 — Cena: 1 rb. 80 kop.

Bohowityn.—*„Kobieta z przeszłością.*—Powieść.—Warszawa 1911.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 336—Cena: 1 rb. 60 kop. (Od wydawców naklejono na okładce książki następującą wzmiankę orjentacyjną: „Upośledzenie kobiety, krzywda, jakiej ona doznaje. zdeprawowanie jej duszy wobec fatalnych warunków społecznych—oto treść ideowa najnowszej powieści Bohowityna. Bohaterką tego utworu jest „kobieta z przeszłością“, kobieta, która poszła za popędem wszechwładnego instynktu i za to całe życie pokutować musi. Nie chce być obłudną, pragnie uczciwie i śmiało iść przez życie, wychowując przy sobie ukochane dziecko, owoc związków zakazanych. Ale opinia „zwartej większości“ staje ławą przeciw niej, bezbronnej kobiecie, aż zniewolona nędzą okrutną i opuszczeniem, zmuszona jest rozstać się z córeczką, oddać ją do obcych ludzi na wychowanie. Smutna, blada twarzyczka tego dziecka, które cierpi nie za swoje winy, jest prawdziwą ozdobą powieści, która poza tem obfituje w liczne epizody, mające bezpośredni związek ideowy z osnową, w kilka typów kobiet nieszczęśliwych, mniej lub więcej wykolejonych, a ilustrujących w sposób wymowny wyżej zaznaczone założenie myślowe autora“).

Henryk Nagiel.—*„Tajemnice Nalewek“*—Z cyklu „Krwawe dramaty“—Tom II.— Z 6-ciu ilustracyami. — Warszawa, Marzec 1911 - Miesięcznika „Ciekawe Powieści“ № 3. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka. — Stron 189—Bezpłatny dodatek do № 11-go „Tygodnika Illustrowanego“.

Adolf Suligowski.—*„Projekt przyszłego samorządu miejskiego“*—Warszawa 1911.— Nakładem „Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości m. Warszawy“. — Skład główny u Gebethnera i Wolffa.—Stron 100—Cena: 60 kop.

„Malarstwo polskie w odbitkach barwnych“—Nakładem i pod redakcją Stefana Kulikowskiego z tekstem objaśniającym H. Piątkowskiego, T. Jaroszyńskiego, A Gawińskiego, St. Popowskiego, St. Kulikowskiego, M. Wawrzenieckiego i A. Piotrowskiego.—Klisze i druk barwny Husnika w Pradze. — Warszawa. — Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka. — Tom I. Część 1.—(Brandt: *„W pochodzie“* — Wygrzywalski: *„Capri przy zachodzie słońca“* — Szermętowski: *„Wspomnienie“*—Kozakiewicz: *„Powrót z pola“*—Boznańska: *„Dziewczyna ze słonecznikiem“*—Wawrzeniecki: *„Ofiara“*—Budkowski: *„Dolce odore“* — Siemiradzki: *„W drodze na targ“*—Wodzinowski: *„Plotki“*—Wywiórski: *„Droga leśna“*— W. Kossak: *„Somo-Sierra“*—Gerson: *„Pożegnanie z koniem“* — Malczewski: *„Przed burzą“*—Lesser: *„Habdank“*—Kędzierski: *„Hanusia“*—Fr. Lampi: *„Portret pani H.“*— Bilińska: *„Mój kolega“*—Piotrowski: *„Odjazd żołnierza“*—Gryglewski: *„Grób św. Stanisława“*—Wasilkowski: *„Żądze“*—Matejko: *„Syn artysty“*—Swieszewski: *„Wieczór“*— L. Janowski: *„Portret panny K“*—Chełmiński: *„Szwadron Elby“*).—Razem 24 odbitki.—Cena: 9. rb. — Tom I. Część 2. — (Stabrowski: *„Portret artystki W. S.“* — M. Zaleski: *„Plac Zamkowy w Warszawie“*—Piechowski: *„Marsz żałobny“*—Tański: *„Wesele“*—Pawliszak: *„Straż Hetmańska“*—Rapacki: *„Wiosna“*—W. Bakałowicz: *„Powitanie“*—W. Kotarbiński: *„Kwiat lotosu“*—Bacciarelli: *„Portret damy* — Masłowski: *„Na pastwisku“*—Gawiński: *„Aurora“*—Fr. Ejsmond: *„Pierwsza lekcja“*—Chlebowski: *„Albańczyk“*—Alchimowicz: *„Pogrzeb Gedymina“*—Wrzeszcz: *Chata ukraińska“*—Moniuszko: *„U płatnerza“*—Żmurko: *„Niewinność“*—Straszyński: *„Stary sługa“*—Pociecha: *„Nad wieczorem“*—Wankie: *„Rybaczki Bretońskie“* — Ż. Jasiński: *„Chmura“* — Rustem: *„Na targu“*—Przyszychowski: *„Dziad podolski“* — T. Ajdukiewicz: *„Powrót z polowania“*).—Razem 24 odbitki.—Cena: 9 rb.—Tom II. Zeszyt 1. — (Kucharski: *„Portret Zofji Potockiej“*—Popowski: *„Zachód słońca“* — Wiesiołowski: *„Dawid“* — J. Kossak: *„Powrót z Moskwy 1612 r.“*)—Razem 4 odbitki. Cena: 1 rb. 50 kop.— Tom II. Zeszyt 2.—(Piwarski: *„Pożegnanie“*—Ruszkowski: *„Anhelli“* — Witkiewicz: *„1863“*—Szerner: *„Na zwiadach“*—Razem 4 odbitki.—Cena: 1 rb. 50 kop.

NAJWIĘKSZY WYBÓR NACZYŃ KUCHENNYCH
galanteryjnych i sprzętów gospodarskich
J. S. KORSAK
Warszawa.
Marszałkowska 141,
Telefon 90-55.
Sprzedaż za gotówkę i na raty.


JÓZEF FRAGET
Fabryka Wyrobów Platerowanych i Srebrnych 84-ej próby.
Warszawa, Elektoralna № 16.
SKŁADY: Wierzbowa 3. Nalewki 16.

HENRYK PUŁAWSKI
WARSZAWA Tel. 996 Mazowiecka 11.


Dom Bankowy
Kazimierz Jasiński
W WARSZAWIE, PLAC ZIELONY
DOM HERSEGO.
Załatwia wszelkie czynności bankierskie na najdogodniejszych warunkach.

W NAWIASIE.

....FIAT!

W okiściach trawy omdlałe kwiaty,
Maków szkarłaty, zbóż ciężkie kłosy,
Ciężarem rosy zwisły ku ziemi...
Zwisły ku ziemi...

Chrzest wodny biorą na żywot dzienny
Zanim się stanie dnia powitanie,
Nim czar wiosenny rozpali życie...
Rozpali życie...

Nim je rozpręży pokusa grzechu
W wonnym uśmiechu ich przebudzenia...
Ich przebudzenia..

Moc je rozgrzesza, moc chrztu świętego,
Z pierworodnego

NESTLÉ'a Mączka mleczna.

Haberbusch & Schiele
PIWO
Bawarskie
Pilzeńskie
Kulmbach
Telefony:
9-52.
92-86.





NAJLEPSZY PUDER
RYŻOWY
„ŁABĘDZI PUCH"
T-wa Brocard & Co.
DELIKATNY, NIEWIDOCZNY
I TRZYMA SIĘ DŁUGO NA SKÓRZE.
MOSKWA.

Warunki najmu są następujące:

za kasetkę małą: półrocz. rb. 6, rocznie rb. 12
„ średnią: „ „ 10, „ „ 20
„ dużą: „ „ 20, „ „ 40

Nadto Bank przyjmuje na przechowanie w oddzielnym skarbcu srebra i kosztowności w odpowiedniem opakowaniu.

af-

n.

25. Redaktor odpowiedzialny: **Piotr Ambroziewicz.**

ewicza, Warszawa, Jasna 8.